

BIBLIOTEKA

HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA

CYKL: POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA
MICHAŁ GIEYSZTOR

N^o 218



CENA 30 GR.

54

13 książeczek do wyboru po 3 zł.

Przesyłka bezpłatna — pieniądze przy zamówieniu.
Obstalujący mniej niż 13 książeczek, płać po 30 gr.
od sztuki i 20 gr. za przesyłkę.

Zaznaczone gwiazdką — odpowiednie dla młodzieży;
zaznaczone kreską — wyczerpane.

1. „Stałszy testament” W. Bilan
2. „Soliman i Roksolana” Melcer-Rutkowska.
- 3. „Kazn. Mikołaja II” J. Łużyć.
4. „Żywot Nerona” J. Ejsmond.
5. „Timurlenk” J. Bandrowski.
6. „Mord Cezara i śmierć Kleopatry” prof. dr. Górka.
7. „Żelazna dziewczica” Melcer-Rutkowska.
- * 8. „Naszyjnik Królowej” Melcer-Rutkowska.
- 9. „Bohaterowie Krzyża” prof. dr. O. Górka.
10. „Kurtizany Rzymu” dr. Skarbek Tłuchowski.
11. „Kawale- Lauzun” dr. Zajaczkowski.
12. „Tysiąc dziwów prawdziwych” J. Tuwim.
13. „Gwiazdy filmowe” L. Brun.
- 14. „Lady Hamilton i lord Nelson” Melcer-Rutkowska.
15. „Tajemnica pochodzenia Franciszka Józefa” Nowicki.
16. „Tajemnice amuletów i talizmanów” J. Tuwim.
- * 17. „Korsarze 1914 r.” St. Wojtkiewicz.
- * 18. „Biały burnus i czarne oczy” Piotr Łot.
19. „Kapitan Scott” prof. dr. St. Nowakowski.
- 20. „K. Kr. Mość Sisowath” K. Sieroszewski.
21. „Piękna Doboszanka” St. Cieszkowski.
- 22. „Ciupase na Syberję” W. Sieroszewski.
23. „Tzeu-Hi władczyni bokserów” M. Kuncewiczowa.
- 24. „Z tronu na szafot” L. Choromański.
- 25. „Proces Bispinga” Adwokat Okręt.
- * 26. „Zabobony nysliwskie” J. Ejsmond.
27. „Mata-Hari, tancerka-szpieg” M-e J. Brieres.
- * 28. „Wyprawa na Ewerest” Inż. Libański.
29. „Tragiczna miłość Oświęcimów” W. Rutkowska.
30. „Dandolo, Joanna D'Arc” prof. dr. Górka.
31. „Proces Capelle-Lafarge” Marja Szpyrkówna.
32. „Jak zabiłem Rasputina” Puryszkiewicz.
- * 33. „Grób na Falklandach” St. Wojtkiewicz.
34. „Kochanka Franciszka Józefa” A. Nowicki.
- 35-36. „Warszawa w ogniu” Wojtkiewicz, Rutkowska.
37. „Skanderbeg, lew Albanji” J. Bandrowski.
- * 38. „Pułkownik Miasojedow” Bresszko-Breszkowski.
39. „Z kregiem polarnym” W. Sieroszewski.
40. „Dwaj Zbrodniarze” Dr. Hofmolt-Ostrowski.
41. „Zdobywanie Syberji” Prof. Dr. St. Nowakowski.
- * 42. „John Big Foot” Watra-Przewłocki.
- * 43. „Powstanie gruzińskie 1924 r.” Bresszko-Breszkowski.
- 44-45. „Czarny Czatownik” F. A. Ossendowski.
- * 46. „Zemsta lorda Fischera” St. Strumph-Wojtkiewicz.
47. „Sara Bernard” Skarbek.
48. „35 000 km. przez ląd i morza” Por. Lepecki.
49. „Tragedja w Mayerlingu” A. Nowicki.

Dalszy ciąg patrz str. 3-cia okładki.

OPLATA POCZTOWA RYCZAŁTEM

Nr. 218

Nr. 218

BIBLIOTECZKA
HISTORYCZNO-GEOGRAFICZNA

Z cyklu: „Polacy na szlakach świata”

MICHAŁ GIEYSZTOR

PERU

ROJ

Nie kłamać —
bawiąc.

Nie nudzić —
ucząc.



T-WO WYD. „ROJ” S. Z O. O.
WARSZAWA, KREDYTOWA 1. P.K.O. Nr. 9880

Handwritten notes and stamps:
D-27/1
Kucharski
Piotrowski
1933 r.
Wydanie prze
Kucharski
56

W cyklu:
POLACY NA SZLAKACH ŚWIATA
ukazały się do tej pory:

- Nr. 18. Piotr Lot — Biały Burnus i czarne oczu
Nr. 22. Wacław Sieroszewski — Ciupasem
na Syberję
Nr. 39. — Za kręgiem polarnym
Nr. 42. Watra-Przewłocki — John Big Foo:
Nr. 44-45. F.A. Ossendowski — Czarny czarownik
Nr. 48. M. B. Lepecki — 35.000 km. przez lądy
i morza
Nr. 58. Wacław Sieroszewski — Wśród
kosmatych ludzi
Nr. 61. Janosza Gzowski — Fakir z Namanganu
Nr. 72. — Car krgiski Abda Chan
Nr. 108. M. B. Lepecki — Na podbój Amazonki
Nr. 140. Wacław Sieroszewski — Cejlon
Nr. 154. — Wrażenia z Ameryki
Nr. 162. — Wrażenia z Anglii
Nr. 200. B. T. Lepecki — Czarni Brazylijanie
Nr. 218. Michał Gilystztor — Peru
- 37

MOJA PODRÓŻ DO MONTANJI PRZEZ ANDY KOLEJĄ, AUTEM, KONNO, ŁO- DZIĄ I STATKIEM.

Koleją przez Andy.

W ostatnich dniach maja 1929 r. przyjechałem z Warszawy via kanał Panamski do Limy, stolicy Peru. Sprawy, związane z moim tu przyjazdem, zatrzymały mnie w Limie trochę dłużej, tak że zaledwie 17-go lipca mogłem wyruszyć w dalszą podróż do tak zwanej Montanji, gdzie znajdują się przyszłe kolonje polskie nad rzeką Urumba.

Dnia tego o 7 rano wyruszyłem koleją z Limy do st. Oroya. Przestrzeń tę, zaledwie 220 km., jechaliśmy 10 godzin, gdyż od samej prawie Limy pociąg sapiąc i dymiąc pnie się do góry coraz wyżej i wyżej. Jedzie się wciąż zygzakami po wykutej w skale drodze nad samym brzegiem niezgłębionych przepaści, przebiegając przez tunele, których na tym kawałku naliczyłem 96, przez cudownej roboty wiszące mosty, oglądając z okien wagonu gdzieś głęboko w dole szu-

miące po skałach potoki i mając przed oczami skały, urwiska i góry. Góry te, jak wszystkie zresztą z tej strony Andów, są gołe i pustynne. Tylko w głębokich dolinach widzi się skąpą zieleni i rzadkie osiedla ludzkie.

Dziwna i smutna pustka. Gdzieniegdzie tylko spostrzega się stadko lam o długich szyjach i ślicznej mądrej mordeczce, to znów ciągną się powoli karawany na mulach lub na tychże lamach, kroczące wąziutką ścieżyną nad przepaściami. Podziwiać tu można umiejętność tak ludzi jak i zwierząt w utrzymaniu równowagi w takich warunkach.

Nareszcie zaczynamy spostrzegać w oddali śnieżne, błyszczące na słońcu szczyty gór. Dojeżdżamy do krainy wiecznych śniegów i lodowców. Słońce świeci i jest nawet ciepło, tuż koło okna lodowce, z których ciurkiem płyną cienkie strumyki wody po długich soplach lodowych. Pociąg staje, a kucharz z wagonu restauracyjnego rąbie czysty lód na potrzeby kuchni.

Tak dojeżdżamy do wysokości 4835 metrów. W pociągu jest stały lekarz, który pielęgnuje pasażerów, cierpiących na chorobę wysokości. W naszym wagonie jest ich sporo. Niektórzy leżą jak martwi, aby nie czynić najmniejszego ruchu, inni łapią usta-

mi powietrze, jak ryby na piasku, inni wymiotują i t. p. Ja trzymam się dobrze, nawet chodzę od okna do okna oglądać cudowne widoki i fotografować. Boli mnie tylko trochę głowa, jakby ciężar jaki gniótł ją.

Od tego najwyższego punktu zw. „Galeria - Talara“ zaczynamy zjeżdżać w dół aż do stacji Oroya, która leży na wysokości 4100 metrów.

Oroya jest krańcową stacją kolejową na wschodnich stokach Andów; od niej idą dwie linie, jedna na północ do Cerro de Pasco, druga na południe do Cuzco. Jest to mała górська miejscina z paru tysiącami ludności, a ważna tem, że w jej pobliżu znajduje się wielka ilość kopalni, przeważnie miedzi. Ciężkie wyziewy zatrują całą okolicę.

Autem z Ororya do La Merced.

Z Oroya musiałem jechać dalej już autem. Załadowałem doń aż 520 kg., gdyż wiozłem z sobą motory, lekarstwa, żywność, narzędzia, broń i t. p. Miałem z sobą młodego Indianina ze szczepu „Piro“ imieniem Toribio, którego wynająłem do posług, a który wracał do swej rodziny w okolice rzeki Urubamby i wyruszyłem w drogę. Przejechać miałem aż do Tarmy odległej od Oro-

ya o 50 km., co zabrało nam czasu 2 godziny.

Jechaliśmy znowu w górę aż do 4600 metrów, by potem zjechać w dół do 3100 m., na tej bowiem wysokości leży Tarma.

Dzika to była jazda, w nocy, po tych karkołomnych drogach. Auto pędzi jak szalone i ciągle w zygzakach, a na zakrętach, zupełnie ostrych, szoferzy pędzą nie zatrzymując się prawie wcale. Droga kamienista i dość równa, ale szerokości zaledwie od 1,5 do 2,5 metrów.

Nie jestem tchórzliwy, ale widząc koła samochodu o jakie 10 — 15 cm. od brzegu przepaści, której dna nie widać, polecałem się opiece Matki Boskiej i — czekałem końca.

Rozmijać się na tej drodze nie sposób, to też jednego dnia auta idą w jedną stronę, a drugiego z powrotem.

Zimno było porządne na takiej wysokości i do tego w nocy, ale mało go odczuwałem, bo było mi — gorąco od tych wrażeń.

Cała ta przestrzeń jest zupełnie niezamieszkała i pusta. Nic na tych górach nie rośnie, chociaż kto wie, może i tu kiedyś osiadają ludzie i będzie ruch, góry te bowiem kryją w głębi skał, jak mówią, duże bogactwa mineralne.

Po parogodzinnej podróży dojechaliliśmy do Tarmy. Ta górská miejscina posiadająca od 3—4 tysięcy mieszkańców nie przedstawia nic ciekawego. Rozłożona w głębokiej, długiej dolinie i otoczona ze wszystkich stron wysokimi górami może służyć jako górskie sanatorjum. Powietrze nadzwyczaj czyste, słoneczne, działa odżywczo na organizm. Przez tę dolinę przepływa mała rzeczka Tarma, zamulająca podczas wiosennych roztopów okoliczne grunta, na których mieszkańcy z powodzeniem sadzą i sieją różne zboża, warzywa i owoce. Rośnie tu bardzo dużo drzew eukaliptusowych, których liście rozta-
czają zdrową i miłą woń dokoła.

Domki przeważnie parterowe lub jednopiętrowe budowane z cegiel niepalonych. Ulice wąskie i ruch na nich mały. Ożywiają się trochę w czasie targu, gdy okoliczni Indjanie - górale zjeżdżają do miasta ze stadami lam i osiołków. Indjanie ci przedstawiają typ zdrowy i dość przystojny. Prawie każda kobieta nosi dziecko swe na plecach uwiązane w chustkę, a idąc trzyma w rękę wrzeczono i kręci z wełny lam nitki.

Prócz tubylców Indjan, zamieszkujących góry, lub doliny, miejscową od wieków zamieszkałą ludnością są tu potomkowie daw-

nych zdobywców Peru Hiszpanów, przeważnie jednak już mieszkańcy z Indianami.

Kościółek murowany staroświecki, parę hoteli dla miejscowych i jeden hotel „Bolivar“ dla cudzoziemców utrzymywany przez Słowaka, szkoła i szpital, to są ważniejsze gmachy tej miejsciny, to też po parodniowym oczekiwaniu na auto wyruszyłem z przyjemnością w dalszą drogę.

Wyjechałem o 7 rano. W nocy spadł deszcz, góry więc okrywała biała gęsta mgła. O ile z Oroya do Tarmy droga była dzika i pustynna, o tyle ta znowu była pełna uroku i roślinności. Tarma, jak pisałem, znajduje się na wysokości 3100 m. La Merced zaś, odbiegła 80 km. od Tarmy, leży już zaledwie na wysokości 750 m. To też droga przez cały prawie czas prowadzi w dół.

Auto pędzi jak szalone, pomimo hamulców, a że droga jest nawet węższa od tamtej, miałem stale wrażenie, że już, już lecimy w przepaść. Jechaliśmy ciągle nad brzegiem rzeczki „Matacocha“, która w połączeniu z „Tarą“ a później „Tutumayą“ tworzą rzeczkę „Chinchamayo“. Ta znów wpada do „Perene“ będącej dopływem rzeki „Tambo“. Rzeczki te płynąc poniżej drogi o 50—100 m. skaczą z głazu na głaz, tak że wody nie widać, a tylko jedną białą pianę.

Z drugiej strony drogi stoją skały prostopadłe, a auto,, ocierając się prawie o nie, pędzi, mając stopnie zwieszzone nad przepaścią. Nagle zakręty co minutę, a często tak ostre, że auto nie może skręcić i szofer musi cofnąć je w tył i dopiero przejechać, czynią podróż tę nad wyraz urozmaiconą, chociaż wielce emocjonującą.

Czem dalej, tem ładniej. Nieraz przejeżdża się przez tunele wykute w skale, z których kapią srebrzyste krople zimnej jak lód wody. Z gór często osypują się kamienie z hukiem spadając na drogę lub wprost do przepaści. Na krótko przed naszym przejazdem, z racji ulewnego deszczu, oberwała się duża skała i zasypała drogę. Musieliśmy stanąć i przy pomocy innych szoferów i pasażerów, jadących za nami, strącać te głazy do rzeki.

Zbocza gór pokryte są nadzwyczaj bogatą roślinnością. Pełno agaw, kaktusów, azalii i moc pnączy. Na spotykanych fermach widziałem całe pola trzciny cukrowej, kawy, bawełny, barany, yukę, kukurydzę i t. p.

Po 4 godzinach dojechaliśmy do San Ramon, małej miejsciny, skąd odlatują aeroplany do Masisea i Iquitos, a wkrótce potem przyjechaliśmy do La Merced.

Jest to też małe miasteczko posiadające

300 — 400 obywateli, lecz w okolicach jest dużo estancyj - majątków z wielkimi plantacjami kawy, bawełny, trzciny cukrowej i owoców, jak: pomarańcze, banany i t. p. Ruch autowy dość duży z Tarmą, Oroyą i San Luis, ale życie w miasteczku martwe. Jest kilkanaście sklepów, poczta, kościółek i parę nędznych hotelików.

Zamieszkałem w hoteliku „Rocca“. Pokoik nieduży z balkonem, z widokiem na zielone góry. W oknach i drzwiach siatki, a łóżko pod moskitierą. W tej porze roku moskitów mało, a tylko w nocy pojawiają się małe czarne komary bardzo kąśliwe. Płacę za ten pokoik z utrzymaniem po 6 soli dziennie t. j. po 20 zł.

Powoli przyzwyczajam się do tutejszego jedzenia, bardzo pieprznego i niezbyt smacznego jak np. „cau-cau“ t. j. żołądek krowi posiekany na kawałki z cebulą pieprzem czerwonym, tak zwanym „Aji“ okrutnie palącym, pomidorami, yuką i t. p.

Tu, w La Merced zobaczyłem pierwszych prawdziwych „Chincho“, t. j. Indian z lasu. Mają na sobie tylko brązowe „poncho“, rodzaj płaszcza bez rękawów z otworami na głowę i ręce. Twarze mają pomalowane czerwoną farbą z czarnymi pasami na policzkach i nosie. Mężczyźni zamiast kapelusza mają

na głowie obręcz z ładnie zrobionej kolorowej plecionki z łyka palmowego, upiększoną małemi piórkami zielonej papugi, a z tyłu mają wetknięte wysokie czerwone pióro papugi ary. Kobiety też wymalowane i w dodatku brzydkie.

W La Merced zmuszony byłem niespodzianie siedzieć kilka dni, gdyż musiałem oczekiwać na karawanę idącą z pocztą przez góry do rzeki Pichitea. Wykorzystałem więc ten czas na zwiedzanie okolicznych ferm. Niektóre, jak S-ta Clara lub Perene są postawione na bardzo wysokim poziomie gospodarczo-przemysłowym i doskonale prosperują. Tu są największe plantacje kawy, trzciny cukrowej, a dużo też jest bawełny i różnych owoców. Wszystko to transportuje się autami, a potem koleją do Limy.

Byłem też świadkiem pewnych uroczystości narodowych. Otóż dnia 28, 29 i 30 lipca obchodzą rocznicę niepodległości Peru. Już wieczorem 27 lipca całe miasteczko szykowało się do tego. Domy zostały udekоровane flagami. I ja na balkonie w swoim hotelu wywiesiłem też naszą polską flagę, zabraną z Warszawy. Wszyscy ją oglądali i pytali z zaciekawieniem, z jakiego to kraju. Dziesiątki razy musiałem opowiadać o Polsce, liczbie jej mieszkańców, o handlu i prze-

myśle, wzbudzając ciekawość i widoczne zainteresowanie.

Wieczorem przybyła do miasteczka orkiestra z gór z m. Huanja. Pożal się Boże jak grali. Hałasu jednak robili dużo. Cały czas chodzili po ulicach i rżnęli od ucha, a tłum dzieci i Indjan za nimi. Była też i druga orkiestra miejscowa: gitary, harfy, cymbały, coś w rodzaju kobzy i skrzypce o jednej strunie. Grali różne melodje staro-inkaskie dość melodyjne, chociaż smutne. 28-go urządzono zostały różne gry i zabawy. Była więc tombola, tańce na ulicy, no i pijatyka. Odbywały się też walki kogutów i byków. Walka kogutów, to bardzo niemiła zabawa, bo przywiązują im do nogi ostre nożyki, któremi, gdy skaczą na siebie, przecinają wzajemnie sobie brzuchy, nogi, a nawet czasami odcinają i głowę.

Walka zaś z bykami to istna heca. Dokoła ogrodzonego placu postavili trybuny z żerdzi chwiejących się, gdzie siedziała i stała publiczność. Zaczęli wpędzać t. j. ciągnąć na powrozie młode byczki. Na arenę zaś występowali amatorzy z publiczności w charakterze toreadorów. Ile to było śmiechu, gdy np. pewien starszy, bardzo gruby obywatel, machając czerwoną płachtą, skakał koło byczka. Często byczek uciekał z przestrachu

przed płachtą i pędził na publiczność, która z wrzaskiem wskakiwała na plot. Czasem znów zniecierpliwiony byk rzucał się na toreadora, przewracał go i potem z miną zadowoloną przyglądał się, wywiesiwszy czerwony jeźor, jak ten rycerz leżał na brzuchu wrzeszcząc lub umykał na czworakach. Publiczność i ja z nią ryczeliśmy ze śmiechu.

Z La Merced do Yessup konno.

29-go lipca rano wyjechałem nareszcie autem do Pueblo Pardo odległego o 20 km., gdzie już czekały na nas muły obładowane pocztą i mojami rzeczami. Cała karawana składała się z 33 mułów, z których 10 dla mnie, 2 dla dwóch policjantów jadących do Iquitos i 21 wiozących pocztę. Za każdego muła zapłaciłem z La Merced do Yessup odległego o 240 km. po 5 funt. czyli po 180 zł.; prócz tego muszę opłacać na każdym postoju po 80 centawos t. j. po 2,80 zł. od muła za jego żywność.

Ruszyliśmy w drogę, która miała trwać 8 dni. Muły idą gęsiego, inaczej zresztą nie można, droga, a właściwie ścieżynka, ma często zaledwie od 1 do $\frac{1}{4}$ metra szerokości, wijąc się skrętami raz w górę, raz w dół, przejeżdżamy bowiem drugie pasmo Andów.

Wszystkie góry i doliny, chociaż skaliste,

zarosłe są dzikim lasem podzwrotnikowym. Widoki przepyszne. Las zbity, gęsty, pełen palm, paproci, olbrzymich drzew, z których zwisają długie gładkie, lub omszone, brodate lżany. Kwiaty o różnych barwach, czasem o odurzającym zapachu, a czasem o obrzydliwej trupiej woni, ogromne kolorowe motyle jak cudne ptaki, to znów małe kolibry, mieniające się w słońcu jak cenne kamuszki, olbrzymie czerwone ary, lub zielone lory skrzeczące przeraźliwie.

Z początku atoli trudno mi było zachwycać się cudami przyrody. Muł na którym siedzę, stąpa ostrożnie po głazach lub brnie w gęstem błocie aż po brzuch, ociera się co chwila bokiem o skały, gdy drugi bok wraz z moją nogą wisi nad przepaściami. Od czasu do czasu szepczę po cichu: „Boże, polecam mą biedną duszę Twojej opiece, bo jestem bezsilny. Tylko mądrość mego osła wyciągnie mnie z tej opresji“. Tak, nie jestem bojaźliwy, ale czasami miałem tego dosyć. Jedna „jornada“ t. j. droga od jednej gospody do drugiej ciągnie się 30 — 35 km., a trwa 9 — 10 godzin bez odpoczynku.

Kości tak bolą od ciągłego naprężenia i niewygodnego siodła i od nierównego, wprost dzikiego kroku muła, że gdy dojeżdżamy do miejsca noclegu, ledwie zlażę z siodła i już

nic mi się nie chce tylko spać. A na dobitkę te niby gospody! Wyobraźcie sobie budę skleconą z patyków i dach z liści palmowych. Śpi się na pryczy twardej. A jedzenie! Trzeba też wiedzieć, że w takiej podróży je się dwa razy tylko na dzień. Z rana kubek czarnej kawy z pieczoną juką, jest to rodzaj kartofli. Potem cały dzień na siodle i obiad o 6 — 7 wieczór. Wczoraj np. na obiad dali nam zupełną mielonej kukurydzy, suszoną i mieloną rybę z parmezanem, jukę gotowaną i czarną kawę. Mam w kufrach różne zapasy kupione w Limie, lecz tak jestem zmęczony, że odrazu idę spać.

Jedynie co daje siły i energję to tutejsze cudowne zdrowe powietrze. W górach, na słońcu porządnie grzeje, a w dolinach miły chłód i niema komarów. To też trzymam się nieźle.

Dziś o mały włos nie wleciałem do przepaści. Na wąskiej ścieżynie muł mój wpadł po brzuch do błota i broniąc się od upadku w przepaść wrzucił i mnie do błota. Wyglądałem jak nieboskie stworzenie, lecz oczywiście wolałem to, niż leżenie na dnie przepaści. W tem samym miejscu drugi muł idący za mną, wyszedł gorzej, bo wpadł do przepaści. Szczęściem miał na sobie nie moje ciężkie skrzynie, ale worki z pocztą. Spadł na jakie

19 metr., gdzie go drzewa i krzewy zatrzymały. Z wielkim trudem jeden poganiacz i ja — inni byli daleko z tyłu, wyciągnęliśmy pocztę i muła okólną drogą. Szczęśliwie nie sobie nie zламаł.

31/VII. Dziś już jesteśmy na czwartym postoju. W nocy padał deszcz, droga więc rozmokła zupełnie. Właściciel gospody obiecał na obiad kurę, więc będzie bal. Jeszcze mamy 4 dni drogi do Yesup, gdzie wsiądziemy do „canoe“ t. j. łodzi. Mówią, że tu to jeszcze niezła droga, ale ostatni dzień przed Yessup, to nawet i w ich pojęciu będzie zła — winszuję.

1/VIII. Dziś znowu przejechaliśmy 30 km. po okropnej drodze. Wciąż pniemy się przez góry i doły. W niektórych miejscach ścieżka nie ma więcej niż 30 cm. Z jednej strony czarne skały, całe obrosnięte pnączami, z których spadają z szumem strumyki wody, a z drugiej przepaść. Siedzę spokojnie, nawet cugli nie trzymam, bo mój mądry muł lepiej i mądrzej sam mnie prowadzi. Podziwiam wciąż jego spryt, siłę, wytrwałość i zgrabność. Ścieżką płotnistą, gdzie jabym piechotą nie przeszedł, on stąpa równo i śmiało. Tylko łeb ma opuszczony i wacha wciąż drogę. Czasem zawiśnie jedną nogą w powietrzu i szuka okiem, gdzie ją ma postawić

i idzie dalej pewien siebie. Widoki pyszne i dzikie, ale bardzo jednostajne tą swą zielonością. Dokucza też częsty deszcz. Nakładam wtedy dla ochrony „poncho“, jakie uszyłem z „hule“ t. j. z materji gumowanej.

Ostatnie dni były bardzo uciążliwe, gdyż postoje leżały o 40 km. jeden od drugiego, a droga była istnem piekłem, ale doszedłem do takiej wprawy, że nie zważałem zupełnie ani na przepaście leżące pod mojami nogami, ani na deszcz lejący się za kołnierz, a nawet wesoło podśpiewywałem, bo już się zbliżał kres tej podróży. Już kończyły się wysokie góry i skały. Robiło się coraz cieplej, a nawet upalnie. Na okolicznych drzewach zjawiało się coraz w większych stadach różne ptactwo, małpki czarne i brunatne i dużo innych stworzeń. Moc też różnych owadów, żuków, motyli, a z niemi i moskity.

Nareszcie 5-go sierpnia wieczorem dojechalismy do Yessup zdrowi i cali, ale zato brudni, obrośnięci i wymęczeni.

Łodzią i statkiem przez Pichis i Pachitea do Masisea.

Port Yessup przedstawia sobą jedyny domek na palach stojący na brzegu rzeki Pichis, która wpada do Pachitea, ta ostatnia zaś do Ucayali.

Dnia 6/VIII 1929 roku załadowaliśmy pocztę i moje rzeczy do dużych dwóch łodzi „canoe“ wyrobionych z jednego pnia cedrowego. Kilku przewodników kierowało łodziami za pomocą długich żerdzi „tangana“ i wiosel. Rzeka, szerokości z 50 m. toczy swe fale szybkim prądem, nieraz rozbijając się z szumem o potężne podwodne skały, które należało nadzwyczaj umiejętnie wymijać. Każdy z pasażerów, których było czterech, siedział na jednym ze swych kuferków, jeden za drugim, trzeba było siedzieć bardzo spokojnie, bo „canoe“ wciąż skakało na falach i nieostrożne przechylenie się groziło wywróceniem.

Dzienny przejazd trwa zwykle 8 godzin z odpoczynkiem na śniadanie. Od takiego więc nieruchomego siedzenia bolą nogi i krzyż. Łódka niczem nie osłonią, więc albo deszcz płucze nas i nasze rzeczy, albo słońce smaży na kotlet, dochodziło bowiem do 35 stopni C. W każdym razie milsza była taka jazda, niżeli konno na mule. Przejeżdżamy bardzo ładne okolice. Wysokie brzegi obrosnięte lasem podzwrotnikowym. Po drodze ciągle się spotyka dużo ptactwa wszelakiego rodzaju, jak: śliczne czaple białe i czarne, egrety, kaczki, moc kur i indyków dzikich, oraz całe stada ptaków łączących po

drzewach, tak zwanych „chuncho“ o ładnem upierzeniu, ale nie jadalnych, papugi zielone duże i małe, wspaniałe „ary“, kolibry i t. p. Ze zwierząt widziałem małego aligatora, ocelota i dziki, a także moc różnych małp.

Na noc zatrzymywaliśmy się na pierwszej suchej piaszczystej mieliźnie. Tam rozkładaliśmy się obozem. Jeden z ludzi przygotowywał wieczerzę, a my urządzaliśmy, kto z czego miał, nocleg. Ja rozkładałem moje polowe łóżko, naciągałem moskitierę i czułem się doskonale.

Z nastaniem nocy zaczynały się różne dziwne odgłosy. Tu setki dużych świetlików błyskały wokół, tam przelatywały nocne ptaki, a z głębi lasu miauczenie i poryki nocnych drapieżców czyniły osobiwy nastrój.

Parę razy, na dłuższym postoju, zapuszczałem się ze swym Indjaninem Toribio w głąb lasu. Jakieś dziwne uczucie nietyle strachu, ile nieufności ogarnia człowieka, gdy znajdzie się w środku tego zbitego gąszczu lasu, wśród olbrzymich paproci, palm wachlarzowych, ogromnych drzew hebanowych, cedrowych i tysięcy innych gatunków nieznaney nazwy. Pod nogami gruby pokład zwiedłych igniłych liści, które ze szczególnym szelestem wciąż opadają tu i tam. Czasami silny zapach wanilji roznosi się woko-

ło, gdzieindziej śliczny kwiat wydaje zapach trupi. Wysoko na 40 m. w górze wrzeszczą papugi, ale poprzez gąszcz liści i konarów dojrzeć ich nie sposób.

Węzy nie spotykałem, chociaż podobno jest tu ich sporo. Gorsze od nich to moskity i mikroskopijne pluskwy zwane „isangui“. Tną i gryzą bez litości.

Tak płynęliśmy dwa dni. 8-go sierpnia dojeżdżając do rzeki „Pachitea“ spotkaliśmy dużą łódź z motorem, na którą przesiedliśmy się. Po kilku godzinach dojechaliśmy do statku parowego „Atahualpa“, który miał nas zawieźć do Masisea, już na rzece „Ucayali“. Jechaliśmy teraz prędzej i trochę wygodniej.

Na noc statek też się zatrzymywał koło brzegu, bo jazda nocą jest bardzo niebezpieczna z powodu raf, mielizn i płynących z prądem rzeki pni.

Jednej nocy spaliśmy na mieliznie o białym czystym piasku, pośrodku której było źródło z gorącą wodą o pewnym oryginalnym zapachu, ale smaczną w picie. Pogoda cudowna, chociaż porządnie gorąco. Zrana, gdy statek nabierał drzewo opałowe, wyszedłem znowu do lasu z jednym marynarzem. Las okazał się bez podszycia i suchy. Po odaleniu się o kilometr od rzeki spotkaliśmy

całe stada małp, pawy, papugi i świń - pecari. Majtek zabił jednego dzika, a ja pawia. Do małp nie strzelałem, bo miałem rozkosz przyglądania się tym dziesiątkom małp dużych i małych skaczących po drzewach i robiących pocieszne miny na nasz widok.

Dnia 10-go sierpnia dojechaliśmy do Ucayali. Wspaniała to rzeka, taka jak Wołga, tylko woda bardzo mętna, koloru kawy z mlekiem. Po 4 godzinach podróży w dół rzeki Ucayali dojechaliśmy do osady Masisea, przejechawszy około 450 km. od Yesup.

Od Masissa do Boca Del Tmbo statkiem po Ucayali.

Masisea, niby miasteczko, ma ze 60 mieszkańców i kilkanaście domków. Posiada pocztę, radio, hangar ze stacją lotniczą i parę sklepików.

Gorąco tu jak w piekle, na słońcu do 50 stopni C. i moc moskitów, to też nie bardzo uśmiechało mi się czekać tu 3 dni, zanim nie nadpłynie zamówiony mały stateczek do dalszej podróży do Urubamby.

Dnia 14-go sierpnia stateczek „Lolita“ najęty przezemnie przybył. Zaraz kazałem załadować bagaż i ruszyliśmy w drogę.

„Lolita“ jest to łódź parowa długości 10

m., a szerokości 2 m. Załoga składa się maszynisty, sternika i chłopca. Ze sobą wiozę 8 ludzi miejscowych, zaangażowanych do przyszłych robót na kolonji. Wszyscy się rozlokowali, jak kto mógł. Moje miejsce było na przodzie statku, skąd nie tylko było najlepiej obserwować całą rzekę, ale gdzie zarazem było najchłodniej. Urządziłem się na leżaku, mając dla siebie 1 m. długości i $\frac{1}{2}$ m. szerokości. Spacerować nie można, a nawet poruszać się nie zabardzo, bo statek-łódź wąski i bardzo chybki, a w rzece aligatory czyhają. Siedzę więc, palę papierosy, trochę czytam, przyglądam się przesuwającym się widokom i czasem strzelam wprost ze statku do spotykanej zwierzyny.

Rzeka Ucayali, pomimo obecnie najsuchszej pory roku, jest bardzo szeroka, miejscami ma kilometr i więcej szerokości. Oba brzegi zarośnięte są gęstym lasem, który dochodzi do samej rzeki. Brzegi stale woda podmywa i wyrzywa ziemię, zwalając do rzeki mniejsze i większe drzewa i unosząc takowe w dół rzeki, gdzie miejscami tworzą olbrzymie zatory na płytszych miejscach.

Woda mętna, a z powodu masy pni i kamieni na dnie, tworzą się wiry bardzo niebezpieczne dla żeglugi.

„Lolita“ posuwa się rażno naprzód, za-

trzymując się co kilka godzin, celem nabrania zapasu opału, który miejscowi mieszkańcy przygotowują i chętnie sprzedają przejeżdżającym statkom. Cena 1 m³ drzewa twardego kosztuje 2 sole t. j. 7 zł. Po drodze kupiłem 2 „canoe“ do których złożyłem część bagażu i które kazałem przywiązać do boków „Lolity“, czem tak ustabilizowałem tę ostatnią, że mogliśmy już spokojnie poruszać się na statku.

Jedziemy wciąż dalej i dalej. Moskity duże i małe oraz uprzykrzone „manta-blanca“ t. j. drobniotkie meszki, gryzą niemiłosiernie. Całe moje ręce, plecy i nogi są w bąblach. Drapię się jak wściekły i tylko nacieranie spirytusem czyni ulgę. Słońce pali z góry, maszyna grzeje z tyłu, ani krztyniatru i tylko pęd statku robi mały przewiew. Opalam się, o ile to jest możliwem, coraz więcej, ale czuję się wogóle zupełnie dobrze.

Od czasu do czasu zabawiam się w strzelanie leżących na piasku aligatorów, albo w stada przelatujących czapli, kaczek i t. p.

17-go czerwca celem reperacji maszyny, zatrzymaliśmy się przy brzegu. Wziąłem karabin i pomaszerowałem wzdłuż brzegu. Niedaleko spostrzegłem kilka dużych aligatorów śpiących w wodzie, tylko koniec nosa

i oczy były widoczne. Po kilku wystrzałach piekło się zrobiło w wodzie. Zranione płazy rzucały się jak wściekłe. Po chwili trzy aligatory wypłynęły do góry brzuchami. Wzięłem więc mniejszą „canoe” i Indjanina Toribio i popłynęliśmy, aby obejrzeć zdobycz, a w razie możliwości zdjąć chociaż z jednego skórę.

Stojąc na przodzie łodzi z długą żerdzią i karabinem w rękę dopłynąłem do pierwszego aligatora. Leżał na boku. Zarzuciłem więc linkę na łapę i pociągnąłem go do siebie. W tym momencie mój nieboszczyk odżył i zaczął ciągnąć w dół naszą małą łódeczkę. Nie czekając chwyciłem karabin i wypaliłem prosto w pysk. To go uspokoiło. Po chwili, ciągnąc za sobą aligatora, z wielkim trudem powróciliśmy do statku. Tu, przy pomocy wszystkich ludzi, wyciągnęliśmy bestję na brzeg. Postanowiłem zdjąć skórę z mego pierwszego aligatora, co uskuteczniłem po 2 godzinach ciężkiej pracy. Mierzył 4,5 m. długości, ale że miał paszczę rozbitą, zdjąłem tylko całą skórę z brzucha, która jest najładniejsza i wszystkie kły z pyska.

Upały wciąż niezmiennie duże. W cieniu 36, a w nocy 25 C. Kąpiemy się parę razy dziennie, ale woda ciepła, mało ochładza. Noce spędzamy czasami na werandzie u mie-

szkających nad brzegami rzeki farmerów, lecz najczęściej na pustych piaszczystych mieliznach, na których czulem się najlepiej. Ognisko, wesoło płonące, rozmowy, warzenie kolacji, a potem cisza nocna pełna gwarów tajemniczych puszczy, szum rzeki i poryki aligatorów, wszystko to sprawia dziwny, a zarazem przyjemny nastrój. O 8-ej wieczorem wszyscy układają się do snu, o 5-ej rano bowiem już wstajemy i po prędkim śniadaniu ruszamy.

Czem dalej w górę rzeki, tem droga trudniejsza. Ucayali coraz węższa, prąd wody coraz szybszy, brzegi z obu stron się zbliżają i w dali widać pierwsze wyniosłości gór.

25-go mieliśmy wypadek, który szczęśliwie nie zakończył się tragicznie. Posuwająca się z trudem nasza mała „Lolita“ z powodu niefortunnego skierowania jej przez sternika, wpadła na sterczący pod wodą pień i przechyliła się na bok. Jedna łódź zaczęła tonąć. Wszystkie rzeczy znalazły się w wodzie. Część z nich, jak kufry moje, skrzynie z materjalami, paczki różne popłynęły z prądem. Siedząc tuż koło burty tej łodzi zdążyłem wciągnąć 2 duże worki z rzeczami i parę paczek. Wszyscy rzucili się ratować drugą canoe, no i samą Lolitę. Wyprostowawszy łódź, obciąwszy sznury wiążące canoe do statku,

całą siłą pary puściliśmy się w pogoń na ratunek płynących rzeczy. Zrzuciłem buty i wskoczyłem do wody, zapominając zupełnie o wirach, aligatorach i innych niebezpieczeństwach rzeki. Uratowałem 3 paki, ludzie moi wyciągnęli 5 sztuk, lecz 1 skrzynia z cukrem, 1 z mlekiem kondensowanym, 1 z prochem i 1 z rzeczami poszły na dno. Strachu było dużo. Dobiliśmy więc do brzegu i tam przez cały dzień musieliśmy cały towar podmoczony, oraz ubrania rozwieszać na krzakach i suszyć. Na drugi dzień ruszyliśmy dalej.

Od tego miejsca rozpoczęły się już tereny otrzymane od Rządu Peruwiańskiego pod przyszłą kolonizację polską. Przyglądałem się więc pilnie okolicy.

Lasy i lasy bez najmniejszej przerwy. W pewnych tylko większych odstępach znajdują się na brzegu uprawione kawałki pól zasianych kukurydzą, yuką, bananami i bawełną. Prawie każda taka ferma uprawia od 2 — 6 ha. Składa się ona z dwóch lub trzech małych domków na wysokich palach. Plac przed domem zwykle starannie oczyszczony, ale rzadko się widzi ogródki kwiatowe. Chyba że właściciel jest więcej inteligentny i ma córki na wydaniu. Krowy chodzą swobodnie cały rok po pastwisku i lesie, świnie, kury i

kaczki gnieźdzą się zwykle pod samym domem mieszkalnym, szukając chłodu. Sporo też jest ferm czysto indyjskich, szczepu „Chamos“. Ci mieszkają przeważnie po kilka rodzin razem. Życie tutejszych mieszkańców tak metysów, jak i Indjan jest bardzo prymitywne. Potrzeb prawie żadnych, a że są z natury bardzo leniwi, uprawiają tylko tyle pola, ile potrzebują na własne potrzeby. Resztę czasu spędzają na spaniu, zabawach, polowaniu lub rybołówstwie za pomocą harpuna, lub rzucając trujące trawy jak „barbasco“ do zatok i mniejszych rzeczek; w taki to sposób tępią całe masy ryb i zarybku bez potrzeby.

Czem dalej w górę rzeki, tem brzegi są wyższe, widać już skały i góry. Moskitów już coraz mniej, powietrze rzeźwiejsze, a noce chłodniejsze. Nareszcie 30/VIII dojechalśmy do zlewu rzek Tambo i Urubamby. Ta ostatnia jest dużą rzeką jak nasz Bug, tylko prąd jest szybszy i dużo niebezpiecznych wirów. Obecnie z powodu suszy miejscami jest tak płytka, że ujechawszy kilka kilometrów zmuszeni byliśmy zostawić „Lolite“ u jednego z fermerów i przeładować ludzi i towary do 5 dużych „canoe“, aby tym sposobem dojechać do kolonji Cepa.

80

Łódką po Urubambie do Cepy.

31/VIII po obiedzie przeładowawszy wszystkie rzeczy do łódek wyruszyliśmy w górę Urubamby. Canoe posuwa się powoli zapomocą „tangan“ t. j. zerdzi i wiosł. W tych miejscach, gdzie woda z powodu suchej pory jest bardziej płytka, rzeka z szumem przewala swe fale przez głazy i żwir, w takich miejscach canoe tylko z wielkim trudem może przepchać się naprzód. Najczęściej, w chwilach trudnych lub niebezpiecznych, wszyscy muszą wyskakiwać do wody i trzymając się kurczowo brzegu łodzi, brnąć często po pas w szumiących falach, aby przeciągnąć łódź na głębsze i spokojniejsze wody. Lubilem oddawać się temu sportowi, aby potem ochłodziwszy się w rzece, wygrzewać się na gorącym słońcu.

Brzegi Urubamby w większej swej części są wysokie i często urwiste. Rzeka w ciągłych zakrętach z szumem toczy swe fale. Na brzegach jej w paru tylko miejscach i to bliżej ujścia można zobaczyć osadnika peruwiańskiego, zwykle mieszańca, na całej zaś tej przestrzeni tylko jedną wioskę Indian szczepu „Piro“. Reszta, to jedna niezamieszkała dzika puszcza. Spotykani Indianie przedstawiają się niezbyt apetycznie. Są to brudasy,

nędznie ubrani w jedną tylko „kusznię“ to jest płaszcz bez rękawów, kobiety zaś noszą tylko krótką spódniczkę, a wszyscy mają twarze wymalowane w czarne i czerwone pasy, ręce zaś do łokcia i nogi do kolan na czarno, tak, że z daleka wygląda to jakby mieli na sobie pończochy i rękawiczki. Dla większego upiększenia wsadzają w nozdrza zwieszający się ku wargom mały srebrny guzik. Są jednakże nadzwyczaj uprzejmi i gościnni. Przy powitaniu wychodzi nieraz cała, bardzo liczna rodzina, i każdy od najstarszego do dziecka, jeszcze noszonego na ręku przez matkę, uważa, za szczyt elegancji i uprzejmości wyciągnąć na powitanie rękę, nieraz bardzo brudną, lub pokrytą strupami, nie sposób zaś odmówić jej uścisku, bo uważane byłoby to za oznakę pogardy.

Aby zaskarbić ich życzliwość, zwykle zaraz po wejściu do ich osiedla rozdawałem kobietom i dzieciom drobne podarki jak pudełka zapalek, lusterko, grzebyk lub wprost jeden biskwit, starszym zaś dawałem papierosy, które zapaliwszy, siadaliśmy wkrąg i długo w milczeniu paliliśmy je. Potem rzadkie zapytania i odpowiedzi i przyjaźń już za warta. Faika pokoju była wypalona.

Trzydniowa podróż po Urubambie była bardzo miła, bo nie tylko czułem się jak u sie-

bie w domu, jechałem bowiem przez tereny należące do koncesji Syndykatu Kolonizacyjnego, ale i śliczne widoki, urwiste brzegi, moc wszelakiego zwierza i ptactwa, a głównie znaczne obniżenie temperatury, chłodna woda rzeki i zupełny brak komarów przyczyniły się do tego, że czułem się tu doskonale.

Łodzie naładowane po brzegi rzeczami, miały 6 metrów długości a szerokości 0,70 m. Popychane były na przodzie przez 3 Indjan, czwarty zaś z tyłu jako sternik. Siedziałem na środku łodzi na derce, opierając się o jakiś worek z pościelą. Nad sobą miałem zrobiony dach z liści palmowych. Niezbyt to było wygodnie siedzieć tak kilka godzin bez ruchu, gdy głowa nieraz tłucze się o pręty dachu. Obowiązkiem też moim było wyczerpywanie wody, gdy raptowna fala na zakrętach wlewała się do łodzi. Obok wisiał mój karabin i nabita dubeltówka, z boku termometr i zegarek. Na jednym kolanie trzymam małą szarą małpę, którą nazwałem „Chitone“, złowioną podczas polowania, na drugim młodą kurkę „Czubatkę“, którą wyratowałem od śmierci, zapłaciwszy za nią Indjaninowi lusterkiem, nad głową na przecie siedzi śliczna zielono-czerwona papuga prze-

zwana przezemnie „Curaca“. Całe to bractwo żyje w zgodzie i śpi, je i dokazuje razem.

Noce jak zwykle spędzaliśmy na mieliznach. Niezapomniane są te noclegi pełne świetlików i błyszczących gwiazd, ryków i szmerów tajemniczej puszczy i tęsknego szumu rzeki.

Nareszcie dnia 3/IX 1929 roku dojechałem szczęśliwie, cały i zdrow do przyszłej kolonji polskiej „Cepa“ po 48 dniach podróży z Limy, a po 3 miesiącach i 3 tygodniach podróży z Warszawy.

Chociaż teraz dopiero poczułem, jak jestem zmęczony, lecz ani chwili nie żałowałem, że wybrałem się właśnie w taką podróż. Przejazd przez ten kraj, tak cudny i ciekawy, te wszystkie przygody i niebezpieczeństwa, to życie prymitywne, lecz tak swobodne, opłaciły stokrotnie wszelkie trudy i niewygody. Dopiero tutaj, gdzie nigdy lub rzadko stapała stopa człowieka cywilizowanego, człowiek miłujący przyrodę odczuje w pełni, co to jest życie na jej łonie.

Kolonja Cepa i pierwsza noc tu spędzona.

Kolonja Cepa wybrana przez Syndykat Kolonizacyjny, jako ośrodek i punkt administracyjny przyszłych kolonij polskich, na pierwszy już rzut oka uczyniła przyjemne wrażenie. Wysoki brzeg, na 15 metrów, pra-

wie urwisko, pokryte zieloną gęstwiną różnych krzewów i drzew, wśród których rzucały się w oczy szerokie, olbrzymie liście bananów, oraz drzewa pomarańczowe obciążone dojrzałymi owocami, parę domków pokrytych liśćmi palmowymi, a dalej stojący w ciszy las puszczy, pełen latających papug i innego różnokolorowego ptactwa, wszystko to zda mi się witało nas i zapraszało do wyładowania.

Nie zwlekając kazałem ludziom zacząć wyładowywanie rzeczy, a sam z karabinkiem wyruszyłem na oględziny miejscowości.

Kolonja Cepa, w tym czasie nie zamieszkała, prócz paru Indian, którzy pilnowali budynków, była trochę uporządkowana i zasiana przez jednego z urzędników Syndykatu, który kilka miesięcy przedtem wyjechał, znalazłem więc parę domów wybudowanych, i kawałeczek pola zasadzonego juką i bananami. Dla siebie wybrałem jeden mały domek, stojący prawie nad brzegiem Urubamby.

Domek ten na palach z małą werandą bez okien i drzwi zamieszkały był przez wampiry, osy, mrówki i węże. Pierwszą więc czynnością było rozpaścić ognisko, aby dymem wykurzyć niezbyt miłych mieszkańców. Ludzie moi, każdy urządzał się jak

mógł; jedni spali na piasku nad rzeką, drudzy w pozostałych domach i szopie. Po wieczery, wszyscy poszli spać.

Rozłożywszy swe łóżko polowe z moskietą na środku pokoju, wyszedłem raz jeszcze nad brzeg rzeki, aby zobaczyć, jak to wygląda Ceba przy świetle księżyca.

Cisza panowała wokoło. Miljardy gwiazd południowego nieba z Krzyżem Południowym na czele iskrzyły się na ciemnym niebie. Z głębi puszczy oddalonej od domu o 30 kroków rozlegały się dzikie śmiechy, chichoty i stękania. Gdzieś niedaleko na skłonie urwiska słychać było postękiwanie jaguara. Raptem rozległy się straszne ryki, zakończone chichotem. To „coto“ rodzaj małpy widać wzywa takim czułym głosem swoją małżonkę. Nocne ćmy, świetlki i różne owady krążyły koło mej głowy, a śmigłe wampiry bezszelestnie latały wszędzie. W dole szumiała rzeka, rozbijając się o sterczące w wodzie pnie i glazy, błyszcząc jak roztopione srebro w świetle księżyca. Z głębi błyszczącej tafli wysuwał się od czasu do czasu olbrzymi łeb „bufeo“ rodzaj ryby ssaka, z głowy i przedniej części trochę podobnego do hipopotama, który z szumem wyrzucał z pyska wodę i parę.

Mógłbym tak stać i obserwować to ta-

jemnicze życie puszczy i rzeki bez końca, ale wiedząc, że od jutra czeka mnie ciężka praca zakładania nowej kolonji, ruszyłem powoli z powrotem, nie przeczuwając jak bliski będę śmierci i to dwa razy w ciągu tej cudnej nocy.

Dochodząc do domku wyciągnąłem rękę, aby otworzyć małe wrotka przy ogrodzeniu. Jakiś instynkt, jakby szósty zmysł, kazał mi raptem cofnąć rękę. Nachyliłem się i przy świetle księżyca ujrzałem coś wijącego się na żłdkach płotu, z głową zwróconą ku mnie. Jedno szybkie uderzenie laską w łeb i żmija leżała u mych nóg. Nie chcąc zniszczyć pierwszej mej zdobyczy, wbiegłem do domu i pochwyciwszy jeden ze słojów, w którym przechowywałem zapasy wsunąłem ostrożnie żmiję do środka, zakorkowując mocno, aby nazajutrz zalać ją spirytusem. Była to, jak się okazało, tak zwana „hergon“ bardzo jadowita żmija, której ukąszenie bywa śmiertelne. Uporawszy się z nią i obejrzawszy raz jeszcze przy świetle latarki wszystkie kąty mieszkania, położyłem się spać.

Jak długo spałem, — nie wiem. Raptem obudziły mnie ciche jakieś stapania. Otworzyłem oczy, jednocześnie sięgając powoli po rewolwer z pod poduszki. Ciemności nie po-

zwoiliły zobaczyć, lecz czułem, że jakaś istota żywa znajduje się w pokoju. Po chwili uczułem, że coś posuwa się w stronę mego łóżka i jednocześnie coś zimnego i mokrego dotknęło mojej ręki. Nie namyślając się, pociągnąłem za cyngiel i wystrzeliłem w tę stronę. Usłyszałem tylko jakiś wielki skok przez drzwi (których nie było) i wszystko ucichło.

Narazie sądziłem, że to może jeden z psów, znajdujących się na kolonji chciał odwiedzić nieznanego przybysza, nad ranem jednak przekonałem się, że to nie pies, a duży „Tigro“ to jest jaguar wypadkowo trafił do mnie, gdyż ślady na piasku pozostałe od jego skoku, jasno wskazywały, kto był nocnym gościem.

Jestem pewien, że on przestraszył się stokroć więcej odemnie. Takie to były przygody mojej pierwszej nocy na kolonji Cepa.

Na drugi dzień rozpoczął się ruch i życie na kolonji, a biedne ptaki, zwierzęta i płazy musiały ustąpić miejsca ludziom, oddalając się od naszych siedzib coraz bardziej w głąb lasu.

Tak to cywilizacja niesie ze sobą zagładę słabszym — a szkoda.

III. WSPOMNIENIA MYŚLIWSKIE Z MONTANJI PERUWJAŃSKIEJ.

Już prawie dwa lata jak zamieszkuje w sercu Montanji Peruwiańskiej nad rzeką Urubamba. Rzeką tą przy zlewie z Tambor tworzy Ucayali, która znów przy zlewie z Marañon tworzy Amazonkę.

Stała moja siedziba znajduje się na Urubambie, ok. 70 km. od ujścia jej do Ucayali w miejscu, gdzie rzeczka Cepa wpada do Urubamby, od której to rzeczki została nazwana ta miejscowość „Kolonją Cepa”. Kolonja ta założona została przez Polsko-Amerykański Syndykat Kolonizacyjny, jako ośrodek przyszłej kolonii osadników polskich, w środku koncesji terenów otrzymanych od Rządu Peru dla kolonizacji polskiej.

Nie mam tu zamiaru rozpisywać się o samej kolonizacji, napiszę bowiem o takowej obszernie w osobnym artykule, tu bowiem pragnę tylko opisać kilka wrażeń z polowań i podróży po dziewiczych lasach Montanji i jej rzekach.

Polowałem i to dość często, jako zapalony myśliwy, w lasach górnej części Ucayali i dolnej Urubamby i mam na rozkładzie poważne sztuki zwierzyny, ale że te miejsco-

wości są w niektórych miejscach już trochę zaludnione, a wskutek tego panuje i pewien ruch na tej części rzeki, zwierzyna jest już ostrożniejsza i nieraz trzeba stracić parę godzin, nim co się trafi. Urubamba zaś, od Cepy w górę, jest zupełnie niezamieszkała i tylko od czasu do czasu przesunie się w tych stronach łódź „canoe“ z miejscowymi Indianami. Sądziłem więc słusznie, że i stan zwierzyny tam będzie bogatszy.

Pewnego poranku wrześnieowego, korzystając z chwili swobodniejszego czasu, kazałem przygotować do drogi swoją canoe „Elka“. Łódź ta wycięta z jednego pnia mahoniowego, długości 9 metr., a szerokości 90 cm., nadawała się doskonale do takiej podróży.

Czterech ludzi Indian na przodzie popychało ją długimi kijami t. zw. tanganami, a jeden kierował z tyłu. Ja zaś ulokowałem się bardzo wygodnie w środku canoe na składanym leżaku, ułożywszy z przodu i z tyłu nasze bagaże, broń, łóżko polowe, garnki i trochę prowizji. Nad sobą miałem zrobiony z brezentu daszek, chroniący od palących promieni słońca i deszczu. Pożegnawszy się z miejscową administracją, ruszyłem w drogę w górę rzeki.

Pogoda była cudowna, chociaż słońce po-

rzędnie przypiekało. Canoe popychana przez wytrawnych Indian szczepu „Piro“ szybko posuwała się w górę, nie bacząc na bystry prąd rzeki. Jak w kalejdoskopie przesuwały się brzegi Urubamby, czem dalej od Cepy tem bardziej strome, pokryte zbitym gąszczem lasu.

W powietrzu przelatywały całemi gromadami małe zielone papużki, śmigaly lotne czajki i inne drobniejsze, przelatywały, zawsze parami, złociste lub czerwone ary, zwykle zielone papugi — loro, czaple, kaczki i tukany.

W wodzie znów ciągle się widziało przepływające, przeważnie koło brzegów, płaskie „paco“, duże ryby około 5 kg. wagi, to duże „Sungari“ rodzaj naszych jesiotrów, które dochodzą do 1,5 metr. długości, oba gatunki bardzo smaczne. Tam znów wynurzała się z sapaniem potworna głowa „bufes“ rodzaj ryby ssaka bardzo dużego, lecz nie jadalnego, to znów parę zwinnych delfinów rzecznych, lub aligator szybko wskakujący do wody z brzegu, gdzie sobie spokojnie wygrzewał swe cielsko na słońcu.

Najmilszy był widok, gdy spotykaliśmy czasami stadko z 4—5 sztuk dużych „lobos“ t. j. wydr rzecznych, które szybko płynęły z prądem rzeki, wychylając swe ładne

mordki wysoko z wody i wydając chrapliwe odgłosy wyrażające zadowolenie z życia. Nie strzelałem do nich, chociaż dystans był bliski, gdyż nawet zabita spada na dno rzeki i nie można jej wydostać, chyba, gdy się trafi na mieliznę.

Las dostarczał co chwila nowych widoków swą dziką płataniną lian, gałęzi, liści, przeróżnaitych drzew i krzewów, nad masą których wysoko strzelały w górę wachlarze palm, lub drzew olbrzymów jak: lupuna, cedr, lub mahoi.

Pierwszy dzień podróży przeszedł spokojnie. Zastrzeliłem tylko parę kaczek i arę czerwona na kolację, a ludzie moi złapali parę paco. Na noc rozłożyliśmy się obozem na pierwszej lepszej „playa“ t. j. płaskiem wybrzeżu rzeki. Rozstawiłem moje łóżko z moskitierą, nie tyle od moskitów, gdyż w tych stronach ich tu niema, jak celem ochrony od spadającej w nocy rosy i, po ugotowaniu przy ognisku wieszery, już o 8-ej spaliśmy spokojnie przy akompaniamencie różnych dzikich odgłosów z lasu i rzeki i przy świetle setek dużych i małych świetlików wciąż latających w około nas.

O 5-tej rano byliśmy już na nogach. Znowu gotowanie śniadania, zbiórka i — jazda dalej w górę rzeki.

Na drugi dzień dojechaliśmy do małej rzeczki Picria, która wpada do Urubamby. Tu był raj na ryby. Całe gromady ogromnych sungari i paco i inrych ryb wciąż śmiały koło brzegów.

Już przedtem na Cepie nauczyłem się polować na ryby harpunem. Harpun, długości około 10 cm. nakłada się na paro-metrowy kij z twardego drzewa. Do samego harpuna przywiązany jest długi mocny sznur. Przy spotkaniu ryby rzuca się na upatrzoną ofiarę z całej siły tym harpunem, który przebija rybę i, po krótkiej, a czasem i długiej walce, wyciąga się do canoe. Trzeba rozumie się pojąć dużą wprawę w tem rzucaniu, a jednocześnie baczyć na to, by cię większa ryba jak n. p. sungari, która waży do 15—20 kg. nie wciągnęła do wody, lub przy szamotaniu się nie przewróciła canoe. Ten sport jednakże jest tak zaraźliwy, że zapomina się o wszystkim i tylko wciąż wypatruje się na falę, gdzie się ukażą charakterystyczne ślady drgań wody, które robi ryba, płynąc pod prąd.

Polowanie nasze się udało. Złapaliśmy 7 szt. paco i 3 sungari, z których ja sam złapałem 2 szt. Na pierwszym postoju Indianie rozplatali ryby i na specjalnem, prymitywnie urządzonem rusztowaniu nad ogniskiem, ca-

ła ryba została uwędzona. Tak przyrządzona ryba wytrzymuje dłuższy czas i nie psuje się. Je się ją na surowo, lub gotuje — jak kto woli. Przy apetycie — smakuje, szczególnie popijając koniakiem.

Tegoż dnia mieliśmy ciekawą przygodę. Jadąc koło brzegu, przy mijaniu zwisającego nad wodą dużego drzewa, jeden z wiosłarzy niechcący uderzył mocno tanganą w gałąź i raptem na przód łodzi, tuż koło mej głowy spada czarna jakaś masa. Krzyk wiosłarzy i dwóch z nich znajduje się odrazu w wodzie. Spadłe zaś kłębowisko błyskawicznie się rozwija i widzę jak tuż o $\frac{1}{2}$ metra ode mnie ogromny wąż boa ześlizguje się z canoe do wody. Moja strzelba była pod ręką, chwytam więc i palę potworowi prosto w łeb śrótem. Co się stało w tej chwili — nie wiem. I ja i moje rzeczy odrazu zostały złane potokiem wody i wąż boa zginął. Ludzie, którzy wpadli do rzeki, wskoczyli jak małpy z powrotem do łodzi, która zaczęła tańczyć na wirach, akurat w tem miejscu się znajdujących. Roztropny sternik wyprostował prędko łódź i po kilku minutach ujrzeliśmy naszego niespodziewanego gościa płynącego z prądem. Po chwili boa był na „Elce“. Żył jeszcze, ale kilka uderzeń wiosłem w łeb uspokoiło go. Mierzył z górą 4 m., a grubości, jak moja

noga. Zatrzymałem się przy brzegu, aby wysuszyć niektóre rzeczy i ściągnąć z węża skórę, którą rozciągnąłem na daszku celem wysuszenia.

Trzeciego dnia dojechaliśmy do większej rzeki Sepahua. Tu skręciłem w nią, pragnąc przejść trochę przez lasy. Wziąłem ze sobą jednego z ludzi i zapuściłem się wprost przed siebie kilka kilometrów. Śliczne są te lasy. Przy brzegu są one trudne do przebycia z powodu gąszczu szalonego z różnych krzewów, trzciny, a głównie z rodzaju dzikiego bambusu t. zw. paka, posiadającego bardzo ostre kolce, boleśnie raniące ciało i rwące ubranie. Tylko przy pomocy „machety“ t. j. długiego ostrego noża, można, robiąc wąski korytarz w gąszczu, przesunąć się powoli. Po dojściu do prawdziwego lasu już łatwo stosunkowo maszerować, obcinając tylko zwisające ljaney i gałązki.

W lesie półmrok, tak gęsto rosną drzewa. Ziemia pokryta grubą warstwą listowia, połamanymi gałęziami, zgniłymi olbrzymich pni i t. p. Atmosfera panuje jakaś niezwykła, przygniatająca, z jakąś głuchą ciszą, szczególnie, gdy niema wiatru. Tylko od czasu do czasu rozlega się trzask pękającej „paki“ jak odgłos głuchego strzału. Taka cisza panuje zwykle w południe. Rankami i wiecz-

rem las ożywa. W górze het wysoko, gdzie przyświeca słońce, kołyszą się na gałęziach różnego rodzaju ptaki, przeważnie papugi i ary, napełniając las wrzaskliwym gwarem. Tam znów grupa większych i małych małp przeskakuje z akrobatyczną zręcznością z gałęzi na gałąź. W dole brzęczą kolibry i przelatują duże barwne motyle, kąśliwe czarne osy i najrozmaitsze émy i barwne żuki.

Lubiłem zasiadać w lesie na złamanym pniu, poprzednio dokładnie oczyściwszy dookoła miejsce od gryzących mrówek, a nawet skorpionów i żmijek, w godzinach wschodu lub zachodu słońca, gdy cały las rozbrzmiewać zaczyna rykiem, piskiem, skrzekiem, lub świstem bractwa leśnego i powietrznego. Takie np. małpy „coto“ wydają odgłosy jak ryczący tygrys, mają bowiem w gardle specjalny przyrząd kościany, przez który wychodzi ten dziki ryk.

Ary, lory, pavo, pucacungi, perdize, pauille i inne ptaki, jak oszalałe świstały, wrzeszczały przelatując z drzewa na drzewo. A wokół wyciągały swe długie gładkie pnie, z koroną liści wachlarzowatych, palmy wszelkich rodzajów jak: pona, cinilla, huacapy, tangarana, wdzięczna yaryna, bombonarie, to znów rzadko stojące drzewa olbrzymy

jak: cedry, lopuna, aguano, cupaiva, pichi, palo de balsa, a nawet caucho, jeve i setki innych, których ani nazwy, ani przeznaczenia nie znam. Wszystko to pnie się do góry, do słońca swemi czubami, spuszczać ze wszech stron, jak warkocze, długie, grube i cienkie ljan y od góry do ziemi.

Takie przedzieranie się przez las dziewczyny nie należy dla nowicjusza do najbezpieczniejszych. Czyha na niego moc niespodzianek jak: deszcz małych mrówek gryzących, które spadają z drzewa przy potrąceniu, ukryte gniazda czarnych os napadających gromadnie, różnego rodzaju kolce, liście paproci „poczekaj trochę“, które kłują, drapią i rozrywają ubranie, zasadzki zdradliwych ljan i korzeni w które ciągle się wpłątujesz i tylko zręczność i uwaga oraz stale przygotowana macheta do cięcia pozwoli ci iść dalej.

Włócząc się tak po lesie nieraz miałem trudny wybór, jaką zwierzynę, czy paka upłować? Musiałem bowiem pamiętać o tem, że co ustrzele, będę zmuszony nieść sam, a nie należy do zbyt wielkiej przyjemności w tym gąszczu transportować na plecach n. p. „pecari“ dziką świnię. Wybierałem więc tylko okazy ciekawsze dla piór i skóry. Udało mi się upolować parę bardzo

ładnych dużych czerwonych ar, mały coto i colorado, a na pieczyste pucacungę i paujil rodzaje dzikiej kury i indyka.

Zmęczony porządnie kilko-godzinnem łażeniem po lesie, a mając przed sobą jeszcze spacer paro - kilometrowy z powrotem do naszego campamentu t. j. obozowiska, usiadłem na pniu, aby odpocząć. Mój chłopak Toribio, Indianin ze szczepu Piro, położył się u mych stóp. Zapatrzyłem się w las słabo już oświecony zachodzącymi promieniami słońca i puściwszy wodze myślom, zapomniałem o wszystkim. Naraz czuję delikatne uderzenia w nogę. Spuszczam oczy i widzę wzrok Toribia wpatrzony w b.k. Powoli zwracam w tę stronę oczy i spostrzegam o jakie 40 metr. przesuwającego się powoli „tigro“ t. j. jaguara, bokiem do nas. Strzelbę miałem na kolanach, a jedna lufa była nabitą lotkami. Była chwila w czasie której namyślałem się, czy warto ryzykować? Lecz widok tej rzadkiej, a tak ładnej zwierzyny, nie pozwolił długo się namyślać. Z największą ostrożnością podniosłem broń do oka. Czulem, jak mi ręka drży. Wypaliłem i jednocześnie porwałem się z miejsca, gotów do dalszej obrony. Lecz było to zbyt szybkie. Tigro uczynił tylko parometrowy skok i z przeraźliwym miuczeniem zwałił się na bok.

Po paru minutach oczekiwania z palcem na cynglu podszedłem do zwierza. Już nie żył.

Toribio z radości wykonał w około trupa jakiś taniec indyjski, ale skrzywił się niemiłosiernie, gdy kazałem mu wziąć na plecy jaguara i nieść do łodzi, sam zaś obładowany resztą upolowanej zwierzyny, też sapiąc i stękając, włókłem się z tyłu.

I znowu dalej w drogę. Tak mineliśmy rzeki Mishagua i Camisea, wszystkie z prawej strony Urubamby, a z lewej większe i mniejsze ruczaje tak zwane „quebrady“, jak: Chandya, Yacu, Huan-camayo, Picha, Hapu i inne.

Rzeki większe wpadające do Urubamby spławne są cały rok, a w czasie pory deszczowej chodzić mogą nawet „lanche“, t. j. statki parowe. Mniejsze rzeki i quebrady latem są prawie suche, a tylko w porze deszczowej mogą służyć dla spławu bułulca.

Tereny w tych stronach są bardzo ładne. Brzegi wysokie, ziemia pod uprawę pyszna, chociaż miejscami trochę kamienista, dużo spadów naturalnych, a głównie zupełny brak moskitów i innego latającego a gryzącego paskudztwa, które nawet na górnem Ucayali tak zamęczają człowieka.

Po kilku dniach cudownej pogody aura

się zmieniała i w nocy rozszalała się burza. Burza w tych stronach to coś potwornego. Deszcz już nie pada, tylko jakby coś ciężkiego leje się na człowieka. Szuka się bezskutecznie jakiegoś schronu, aż wreszcie z filozoficzną obojętnością siada się na mokrym piasku i czeka — komu się prędzej znudzi. Dobrze, że to nie trwa w tej porze roku zbyt długo. Po paru godzinach słońce wyłazi z mgły deszczowej i naraz wszystko zaczyna parować. W lesie rozpoczyna się koncert, a my czempredziej rozniecamy ognisko, aby napić się gorącej kawy.

W tym czasie właśnie, tylko co po ostatniej nawałnicy, gdyśmy wszyscy siedzieli koło ogniska, raptem z tyłu nas rozległo się silne szamotanie i chrząkanie i tuż koło nas pędem wypadło stado ronsoco — capivari, stare i młode. Stało się to tak nagle, że nikt nie zdążył pochwycić strzelby, lub łuku. Ronsoko z hałasem wskoczyły do rzeki, zanurzając się momentalnie. Po chwili wypląnęły na powierzchnię wody, strzelilem, ale pudło. Straciliśmy nie tylko zwierzynę smaczną, ale i kawę, gdyż z rozpędu jeden z Indian wpadł w ognisko, wywracając nogą kociołek.

Jednakże św. Hubert widocznie chciał mi ten niefortunny strzał i straconą kawę

wynagrodzić, bo za ledwie wyjechaliśmy na rzekę, ujrzałem, jak na wysokim brzegu spaceruje duży „chachavaca“ — tapir.

Położyliśmy się wszyscy na spód cance i lekko sterując podплыliśmy pod brzeg. Na nasz widok tapir zgłupiał i, miast uciekać do lasu, skoczył z brzegu do rzeki. Rozpoczęła się gonitwa. Tapir starał się znowu dopłynąć do brzegu, ale my, wiosłując z całej siły, odcięliśmy odwrót, zmuszając go do przepłynięcia na drugi płaski brzeg.

Śliczny to był widok, jak to duże zwierzę zgrabnie pływa, nurkuje i manewruje w wodzie. Były chwile, że szczerze pagnąłem, aby się wymknął, ale zajądł się Indjan nie zna litości. Zaczęły świstać strzały z łuków. Zbliżywszy się na 30 metr. wypaliłem z karabinu w wychylającą się głowę bi dnej chachavaci. Gwałtowny ruch ciałem i tapir pograżył się w wodę, ale wiedzieliśmy, że prąd zniesie go prędko na płytsze miejsce, jechaliśmy więc z prądem obok i rzeczywiście, po pewnej chwili ujrzałem olbrzymie ciało wolno płynące w wodzie. Teraz zaczęła się ciężka praca wyholowania tapira na brzeg. Moi Indianie wskoczyli do wody i popychając kijami i rękami powoli dopchali aż do mielizny. Z wysiłkiem nas sześciu ludzi zdołaliśmy to skutecznie. Zdjęcie skóry,

rozćwiartowanie i wędzenie mięsa zajęło nam kilka godzin ciężkiej pracy. Ale mieliśmy zapas mięsa na długi czas.

Po paru dniach podróży, mając pełną łódź wędzonego mięsa i ryb dla całej kolonji i po obejrzeniu lasów i terenów, jakie mnie interesowały, kazałem zawrócić „Elkę” z powrotem do domu.

Teraz podróż była o wiele przyjemniejsza, gdyż płynęliśmy z prądem rzeki. Często kazałem zaprzestać nawet wiosłowania i leżałem cicho, patrząc na przesuwające się w szybkim tempie brzegi i obserwując życie wodnych i leśnych mieszkańców. Używałem też nieraz kąpieli wskakując wprost z canoe do wody, i leżąc na wznak za wolno, obok łodzi, płynąłem z prądem wody, każdym razem jednakże jeden z ludzi musiał z harpunem w ręku pilnować, gdyż wszystkie tutejsze rzeki mają, oprócz niebezpiecznych wirów, inne niebezpieczeństwo w postaci „raya” t. j. płaszczy z ogonem kolczastym, którym przecina nogi kąpiących się i robi bardzo bolesne i niebezpieczne rany. Raya dochodzi tu do metrowej nawet wielkości. Z wielką satysfakcją zabiłem kilka tych obrzydliwych ryb harpunem. Mięso do niczego, a kaśliwa bestja.

W powrotnej drodze zastrzeliłem : to

śrótem Nr. 4, dwa aligatory wygrzewające się na piasku, długości z górą 2 metry, z których ściągnąłem skóry i wysuszyłem. Zrobiłem też spustoszenie w stadzie dzikich pawi t. zw. Pavo, których w jednym miejscu zabiłem 8 szt., oraz zastrzeliłem ładnego ptaka „Caschimbiro“ coś w rodzaju czapli malej z długim zakrzywionym dziobem.

Zdawało mi się, że po takiej podróży odpoczną trochę, ale tu nigdy człowiek nie wie, co go czeka. Otóż, dojeżdżając do portu Cepy, usłyszałem dzikie wrzaski pracujących w polu Indjan. Nie namyślając się długo, wyskakujemy wszyscy z łodzi i biegniemy na pole. Widzę taką scenę.

Z lasu do którego przytyka pole, zasażone yuką to jest maniokiem, rodzaj kartofli, wyskoczyło ogromne stado „huangana“ t. j. dzików. Było tego z warchlakami około 70 sztuk. Groźne chrząkanie i kłapanie zębami rozlegało się daleko. Dwa psy, które nieopatrznie rzuciły się na nie, zostały mentalnie rozszarpane. Kobiety i dzieci powłaziły na drzewa, mężczyźni zaś Indjanie z łukami i rządcą kolonji z karabinem z krzykiem strzelają w stado.

Rozumie się, przyłączyłem się do obrony, a że miałem na szczęście w ręku karabin nalożony, nie żałowałem naboji. Wystrzały,

krzyki i walące się trupy zrobiły swoje. Całe stado nagle zakręciło i z szalonym pędem popędziło w las. Na polu walki leżało 6 dużych dzików, z tych 2 ubite przezemnie, 1 warchlak, i 1 maleńki, którego Indjanie złapali żywcem i który obecnie hoduje się w domu i biega, jak piesek, z tyłu za mną.

Całe szczęście, żeśmy zdążyli odpędzić to stado dzików, gdyż inaczej mogłoby ono w parę godzin zniszczyć wszystkie nasze zasiewy.

W domu dowiedziałem się o smutnej dla mnie nowinie. Parę miesięcy temu udało się naszym robotnikom złapać żywcem małego tapira. Nazwałem go „Bartkiem“, a taki był laskawy, że cały dzień włóczył się po lesie szukając pożywienia i kąpiąc się w rzece, a na wieczór wracał do domu i tu otrzymywał swoją porcję yuki gotowanej. Otóż, przed kilkunastu dniami przyjechał pewien Polak celem osiedlenia się jako kolonista na Cepie. W czasie mej nieobecności wyszedł na przechadzkę do lasu i tam spotkał się z moim Bartkiem. Nie wiedząc, że to oswojony tapir i że w bliskości kolonji zabroniłem strzelać, wystrzelił i zabił. Bardzo byłem zmartwiony tą stratą, bo to nie tak łatwo i złapać i oswoić takie, już dość rzadkie, zwierzę.

Mam w domu i w klatkach i na wolności

już sporo ptaków, jak: ary, papugi, indyki. a także kilka małp, a nawet młode węże boa wodne i lądowe. Całe to bractwo żyje w zgodzie z psami, kotami i z ludźmi.

Miałem też ładnego mrówkojada „Atamandua bandera“, ale niewdzięcznik wyszedł do lasu i nie powrócił.

Takie oto życie, nieraz pełne przygód myśliwskich i niebezpieczeństw, jak najazdy wędrownych mrówek na dom, wypędzanie jadowitych pajaków z pokoju, a nawet czasem i żmij z pod łóżka, prowadzę tu w ślicznej, a bogatej i zdrowej Montanji Peruwiańskiej.

Klimat w tych stronach, zwłaszcza w górnej Urubambie, jest zupełnie zdrowy i nie upalny, średnia roczna wynosi 28 C. w dzień, a 18 w nocy. Ziemia tak nadzwyczaj urodzajna, że już po 12—15 miesiącach, nawet na 2 hektarowym gospodarstwie, cała rodzina doskonale może się utrzymać.

W lesie moc cennego materiału drzewnego, w górach, na terenach koncesji, są różne minerały, co zaś do stanu zwierzyny w lesie i w wodzie, to mało stron obfitszych, to też dziwi mnie trochę obojętność naszego Rządu Polskiego, że tak mało interesuje się tą koncesją, szczególnie mając całkowitą pomoc i poparcie Rządu Republiki Peru.

Przy trochę większym wysiłku, można-
by dla naszych emigrantów, tak łaknących
ziemi, stworzyć tu naprawdę śliczną, a bo-
gata kolonję polską.

WIADOMOŚCI O PERU.

W ostatnich paru latach stosunkowo dość
dużo pisano o Peru, jako o kraju, mogącym
przyjąć większą ilość ludzi z Polski, szuka-
jących chleba i ziemi za morzem.

Zaczęto zwracać uwagę na Peru, jako na
kraj, dokąd możnaby skierować częściowo
naszych emigrantów, w rzeczywistości do-
piero od 1927 r. to jest od czasu, gdy dwie
spółki polskie otrzymały od Rządu Peru du-
że koncesje terenowe w Montanji peruań-
skiej, celem osadzenia na nich kolonistów
polskich.

Tą nową imprezą Rząd polski na tyle się
zainteresował, że w końcu 1927 r. Urząd
Emigracyjny wysłał mnie jako swego in-

spektora, celem wstępnego zbadania na miejscu możliwości emigracji do Peru, a już w początku 1928 r. została wysłana oficjalna komisja naukowo - badawcza właśnie na te koncesyjne tereny. Komisja ta po powrocie wydała orzeczenie, że tereny koncesji, położone we górnym biegu rzeki Ucayali, Uribamby i Tambo, nadają się zarówno pod względem zdrowotnym jak i pod względem urodzajności ziemi i bogactwa przyrody na kolonizację emigrantami z Polski.

Nie będę zajmował moich czytelników historją Peru, ani też nie będę rozpisywał się o różnych kwestjach o charakterze naukowym, gdyż o tem pisali już inni, a odrazu przystąpię do praktycznych wskazówek interesujących przede wszystkim przyszłych kolonistów, przyczem pisać będę tylko o tem, co widziałem, co znam i czego doświadczyłem, jak z dobrej tak i ze złej strony.

Tereny koncesji.

Koncesje otrzymane od Rządu Peru zajmują się prawie w połowie rzeki Ucayali i zajmują przestrzeń pomiędzy 73 i 75 stopniem geograficznej długości i 8 i 12 stopniem szerokości, ale o tych bliższych równika terenach nie będę pisał, gdyż takowe bardzo mało nadają się do naszej kolo-

nizacji z powodu zbyt gorącego i wilgotnego klimatu i związanych z tem wielką ilością owadów i malarji, a także z powodu, że nisko położone, są prawie rok rocznie zatapia ne podczas wiosennych wylewów rzek.

Tereny nadające się dla polskich osadników, zarówno pod względem klimatycznym, jak i zdrowotnym, zaczynają się w rzeczywistości od 10 stopnia szerokości od miejscowości „Bolognezi“ i im dalej w górę rzeki Ucayali, a potem rzek Tambo i Urubamba, tem są bogatsze i zdrowsze.

Z powodu tego, że tereny otrzymane od Rządu Peru przez obie spółki polskich koncesjonariuszy sąsiadują ściśle ze sobą i ciągną się przez dwa z górą stopnie geograficznej szerokości są pod względem klimatu, zdrowotności, bogactwa gleby i dojazdu w pewnej mierze różne, pragnę, opisywane tu tereny. rozdzielić na dwie części, które nazwę: dolnym i górnym.

Dolny odcinek terenów koncesji.

Dolny odcinek terenów nadający się dla kolonizacji polskimi osadnikami ciągnie się mniej więcej od 10 stopnia geogr. szerokości od mniejszości Bolognezi wzdłuż rzeki Ucayali na prawym jej brzegu pasem

35 kil. w głąb, aż do miejscowości Boca del Tambo, przy ujściu dwóch rzek Tambo i Uru bamba, które to rzeki tworzą Ucayali, a która znajduje się trochę powyżej 11 stopnia szer.

Tereny te przecinają różne większe i mniejsze rzeczki, wpadające do Ucayali, z których niektóre jak: Cumaria, Vinuya, Coenhua, Puntijao, Lagarto, a z lewego brzegu Unini mogą służyć jako miejsca lepsze i wygodniejsze dla zakładania osad i spławu budulca.

Na terenach tych niema większych wyniosłości. Jest to równa pokryta lasami dziewiczymi, wyniesiona od 160 do 270 metr. ponad poziom morza. Brzegi rzeki pokryte są zbitym gąszczem mało użytecznych drzew i krzewów, a to z tego powodu, że brzegi rzeki zwykle były i są jedynym miejscem, gdzie rzadcy mieszkańcy wycinali las pod swe osady, a gdy w pobliżu został wycięty budulec i z dalszych okolic nie opłacało się go ściągać, lub gdy mieszkańcom znudziło się mieszkać w danym miejscu, opuszczali bez ceremonji i zachodu swe siedziby i przenosili się w inne strony, a wycięty las szybko zarastał wysokimi trzcinami, liściastymi palmami i t. p. zielskiem tworząc zbity, kołący gąszcz. Dalej od brzegu, lasy są

czystsze i zawierają dużo drzew szachet-
nych.

Klimat i zdrowotność.

Odcinek ten też można podzielić na dwie części.

Okolice dolne tej koncesji posiadają średnią temperaturę roczną w dzień 32—33 Cel-sjusza, a w nocy 22, gdy tymczasem w górnym odcinku temperatura w dzień wynosi 30, a w nocy 20 stopni Cel. i ta właśnie parostopniowa różnica temperatury robi to, że czem wyżej w górę rzeki, tem mniej moskitów, a z niemi mniej różnych chorób, a głównie malarji. Prócz tego, co jest bardzo ważnem, idąc w górę rzeki widzimy stopniowe podwyższanie się gruntów, coraz mniej zalewisk, a ziemia sama staje się daleko żyźniejsza i lepsza.

L u d n o ś ć.

Na całej tej przestrzeni zamieszkuje bardzo mało ludzi. Rzadkie osady pojedyncze rozrzucone są wzdłuż rzeki Ucayali dość daleko jedna od drugiej. Są to przeważnie tak nazwani Peruanos civilizados, miejscowi mieszkańcy, często żonaci z Indjankami. Uprawiają oni kawalek pola zasiewając je yucą, bananami, kukurydzą, fasolą, żyjąc

rybą i polowaniem, trochę kontrabandą wódczaną i tytuniową, a na sprzedaż hodują trochę bydła, świń i drobiu. Zasadzają bawełnę i spławiają budulec. Żyją bardzo marnie, bo są leniwi i obywają się byle czem. Cała ich przyjemność zjeść jak najwięcej, dużo spać lub leżeć w hamaku z fajką w ustach i oczekiwać na rzadko przechodzące statki, którym sprzedają drzewo opałowe, lub trochę produktów, za co nabywają różne tkaniny, piwo, sól, zapalki i t. p. towary na swe potrzeby.

Prawie każdy z tych farmerów posiada kilku lub więcej Indjan do pracy. Ci Indjanie są to niewolnicy i stanowią własność civilizados, którzy robią wyprawy w głąb lasów i tam łapią dzieci i kobiety, a czasem kupują od t. zw. „coraca“ t. j. naczelników plemion. Cena lokalna jak obecnie, za młodą dziewczynę lub dziecko: 1 strzelba kapiszonówka, 1 topór, flaszka prochu, trochę soli, haczyki do ryb, lusterka i płócienna.

Handel, kupno i sprzedaż ludzi kwitnie w całej Montanji i bardzo trudna jest walka z tem. Władze wiedzą o tem i chociaż prawo srogo tego zabrania, są bezsilni z powodu olbrzymich przestrzeni, gdzie w ogóle brak wszelkiej władzy. Taki niewolnik pracuje całe życie na swego pana, a w zamian

nie otrzymuje nic, prócz nędznego życia i czasem jakiegoś łachu na grzbiet.

Górny odcinek terenów koncesyj.

Górny odcinek terenów nadający się do kolonizacji polskimi osadnikami zaczyna się, jak zaznaczyłem, trochę powyżej 11 stopnia geogr. szerok. od ujścia rzek Tambo i Urubamba do Ucayali i ciągnie się aż do 12 stopnia. Główniejsze rzeki przecinające ten teren są: Urubamba z dopływami: Inuya, Cepa, Picria, Sepahua, Mischa-hua, Camisea, Timpia, Mapirontari, Picha Lliavero i moc drobniejszych rzeczek i quebrad t. j. strumieni i Tambo z dopływem Anapati i innemi.

Tereny te w okolicach Urubamby są na wysokości 350 — 450 metr. nad poziomem morza i podnoszą się stopniowo w miarę oddalania się od rzek, jak powiadają do 1500 m. Cały ten teren pokryty jest dziewiczym innem, chociaż dalej w głębi koncesji są duże tak nazwane „pajonale“ t. j. miejsca porośnię trawą i mało zalesione nadające się bardzo dla hodowli bydła.

K l i m a t.

Dwuletnia obserwacja zmian temperatury wykazała co następuje: najgorętsze dni mieliśmy w styczniu, lutym i marcu, gdy w dzień temperatura dochodziła do 30—32 Cel. w cieniu, a w nocy do 20—22 C. Najzimniejsze miesiące są czerwiec, lipiec, sierpień, w tym czasie temperatura we dniu dochodziła do 26 C. a w nocy do 16, a nawet bywały noce, gdy temperatura spadała do 14 C., czyli można powiedzieć, że średnia roczna temperatura we dniu wynosi 28 C., a w nocy 18 C., co zasługuje na nazwę klimatu bardzo przyjemnego, bynajmniej nieupalnego. Temperatura nocna tak stosunkowo niska zapewniała zmęczonemu organizmowi całkowite odprężenie i daje możliwość zupełnego odpoczynku.

Co do stopnia wilgości, to jedynie w porze deszczowej w ciągu 3—4 miesięcy wilgotność powietrza jest dość duża, w innych miesiącach roku nie daje się zbytnio odczuwać.

Taki klimat wpływa bardzo dodatnio na stan zdrowotności i pomimo, że na kolonii Cepa gdzie stale mieszkalem, pracowało z górą 100 ludzi, kobiet i dzieci, między nimi i kilku europejczyków, żadnych chorób nie

było pomimo braku lekarza, a odwrotnie częste były wypadki, że znajomi z Iquitos i Contamany przysyłali na kolonję dla wzmocnienia się swe dzieci wycieńczone malarją, tam, które po paru miesiącach wracały zupełnie zdrowe i silne. To samo było i z rodzinami Indjan, którzy często przyjeżdżali nawet bardzo chorzy, a tu przy pracy na świeżem i zdrowem powietrzu, dochodzili zupełnie do zdrowia.

Za cały dwuletni okres był tylko jeden wypadek śmiertelny, gdy stary Indjanin zmarł na niezżyt kiszek, z którą to chorobą tu przyjechał.

Rozumie się, że nawet silny i zdrowy człowiek może zapaść na jakąś chorobę w tych stronach, o ile będzie nadużywał owoców, kładł się na wilgotnej ziemi lub spał w mokrej lub spoconej bieliźnie.

Powódzie i deszcze.

W tych stronach wody w rzekach podnoszą się zwykle począwszy od stycznia i wysokość ich poziomu trwa aż do kwietnia, następnie rzeki zaczynają opadać. Woda w Urubambie, głównej rzece na terenie koncesji, podnosi się średnio od 7—9 metr. Często bywa, że wielka woda podnosi się raptownie w przeciągu 24—48 godzin i rap-

townie też opada po 3—4 dniach. W roku 1931 wody wyjątkowo podniosły się aż do 14 metr., po raz pierwszy tak wysoko od 26 lat. Z wyjątkiem paru niżej położonych miejscowości, nigdzie tereny kultywowane nie zostały zalane, co jasno wykazuje, że ten odcinek terenów nie obawia się zalewów, a co zatem idzie nie tworzą się zalewiska i moczary, tak szkodliwe na Ucayali, w których potem wylęgają się chmary moskitów i niebezpiecznych komarów „anafolesów” roznoszących malarję.

Większość Indjan śpi bez moskitierów, a ja sam bardzo często spałem bez opuszczenia tej ochronnej siatki nad łóżkiem.

Deszczowa pora roku to miesiące styczeń, luty i marzec, gdy ulewne deszcze padają 12—16 dni w miesiącu. Deszcz pada nie cały dzień, lecz trwa 2—4 godziny zwykle po południu, potem znów świeci słońce. W kwietniu deszcze stają się coraz rzadsze 6—8 dni, w maju 2—4 dni, a potem do grudnia, stała pogoda z krótkimi przelotnymi deszczami.

W tych więc stronach zaznacza się jaszkrawo granica pory deszczowej i suchej, co pozwala na racjonalną gospodarke i pracę w polu. W porze deszczowej też się pracuje, chociaż mniej intensywnie.

Z iemta.

Na urodzajność ziemi składa się nie tylko ciepły i wilgotny klimat, ale przede wszystkim sam pokład ziemi, który w najważniejszej części się składa z t. z. humusa, sięgającego nieraz od 1 do 2,5 m. głębokości. To też wszystko rośnie w nieprawdopodobny sposób prędko i wybujale. Pysnie rodzi kawa, kakao, wanilia, trzcina cukrowa, ryż, yacu, różne owoce, bawełna i t. d. Prócz tego w głębi ziemi znajdują się olbrzymie mineralne bogactwa, jak: złoto, miedź, nafta i t.p. Lasy pełne szlachetnych drzew i zwierzyny, a rzeki ryb. Łatwość uprawy roli, wydajność ziemi i bogactwa naturalne i zdrowy klimat, mogą, przy małym wysiłku, uczynić dla przyszłych kolonistów prawdziwy raj, a dla ludzi energicznych i z pewnym kapitałem a w szczególności dla przemysłowców nowe pole dla swej ekspansji energii i kapitałów.

Polska zaś mogłaby stworzyć dla siebie tam prawdziwą przebogatą kolonję. Kolonizacja polska w Peru może przyczynić się nie tylko do zubożenia jednostek, ale i potężnie wpłynąć na bilans handlowy.

DALSZY CIĄG ŻÓŁTYCH KSIAŻECZEK

Z 4-EJ STR. OKŁADKI.

169. Z kroniki Bemów — Włodz. hr. Bem de Cosban
170. „Fałszywy Hohenzollern” — A. M. Matoga-Ferus
171. „Więzienia i ucieczki” — Michał Godlewski
172. „Zagadka Zagłowcwa” — Br. Falk
- 173—174. „Szpilka z trupią główką” — L. Kurnatowski
- 175—176. „Bohater mechaniczny” — Bruno Winawer
177. „Fałszywe promienie” — H. Ashton Wolf
178. „Casanowa w Warszawie” — * * *
179. „Wywiad rosyjski” — M. Godlewski
180. „Król sutenerów” — D. Bachrach
- 181—182. „Ząb czasu” — Bruno Winawer
- 183—184. „Hanoi-Szan” — H. Ashton Wolf
185. „Subutaj-pogromca” — I. Ziemiański
- 186—187. „Sprawa Dreyfusa” — Jerzy Stefanowski
188. „Walka tyt mów” — komandor ppor. Czeczott.
189. „Bohater pustyni” — Jerzy Karin
190. „Tajemnica pokoju Nr. 18” — D. Bachrach
- 191—192. „Od bieguna do bieguna” — Bruno Winawer
193. „Awanturnicy i bohaterowie wielkiej wojny” —
M. Godlewski
194. „Admirał Makarow” — komandor ppor. Czeczott
195. „Obłęd złota” — L. Kurnatowski
196. „Gizanka” — T. Kutz
197. „Ludzie sławni w anegdocie” — W. Kietlicz-
Wojnacki
- 198—199. „Tempo” — Bruno Winawer
200. „Czarni Brazylijanie” — Bohdan Teofil Lepecki
201. „Ataman Machno” — adw. Seweryn Strzałkowski
- 202—203. „Od roku 1908 do dzisiaj...” — M. L. Kur-
natowski
204. „Kitschener” — komandor ppor. Czeczott
205. „Czan Tso-Lin” — Teodor Parnicki
- 206—207. „Gandhi w Afryce” — L. Lasocka
- 208—209. „G. P. U.” — Tadeusz Bleszyński
210. „Jagiellowie ożenki” — Skiba
211. „Wielkie Kurtyzany” — Edward Boyé
212. „Zielone Granice” — Godlewski Michał
213. „Wyprawa kanonierki Antares” — inż. J. Ginsbert
- 214—215. „Co dzień — Epoka” — Bruno Winawer
- 216—217. „Swaraj” Gandhi w Indjach — L. Lasocka

50. „Z tajników carskiej policji” Koszko, b. ser. p. st. Rożni.
- *51. „Tajniki szpiegostwa angielskiego” Robert Boncar.
- *52. „Wielkie lowy” Ejsmond.
53. „Caryca Praskowja” Kazimierz Bartoszewicz.
54. „Bajazet Blyskawica” Jerzy Bądrński.
55. „Zdradca w rodzinie Habsburgów” Adam Nowicki.
56. „Biała Czarodziejka” Aurelja Wyłczyńska.
57. „Eleonora Duse” Trianna Skarbek.
- *58. „Wśród kosmatych ludzi” Wacław Sieroszewski.
- *59-60. „Raidy lodzi podwodnych” St. Str. Wojtkiewicz.
61. „Fakir z Namanganu” Junosza Gzowski.
- *62. „Dynaitem ku bogactwu i sławie” Halka-Laskowski.
- 63. „Miłość Wielkiego Księcia” Bresszko-Breszkowski.
- *64. „Ossowiecki — polski jasnowidz” Zofja Tawanova.
65. „Kat Sanson i jego epoka” K. Stępc.
- 66. „Mohammed II” J. Bandrowski.
- 67. „Listy anonimowe” Z. Dromlewiczowa.
- 68. „Arlekin i Kolombiny” Dr. Tłuchowski.
- *69. „Tajniki szpiegostwa niemieckiego” Dr. Zajączkowski.
- 70. „Zabójstwo gen. Mergańskiego” Krzeslański.
71. „Walentino” S. Heymanowa.
72. „Car kirgiski Abda Chan” A. Gzowski.
- 73. „Różowy brylant” Koszko.
- 74. „Zabójstwo pulk. Sudiejkina”.
- 75. „Gród — kat Warszawy” Wroczyński.
- 76. „Tajniki szpiegostwa austriackiego” Mi. T.
- *77. „Wyprawa Livinjetona” Dr. Majewski.
- *78. „Wojna Konopki z Teruniem” J. Grabowski.
- *79. „Asasów, por. Fonc” St. Str. Wojtkiewicz.
80. „Grün — ochrannik” J. Sokolierz-Wroczyński.
- *81. „Czciociele Sego Kaktusa” Dr. J. M. Majewski.
- *82. „Tajniki szpiegostwa francuskiego” Dr. J. P. Zajączkowski.
- 83. „Radziwillowie” Kazimierz Bartoszewicz.
- *84. „Tajniki szpiegostwa czeskiego” Mergiel.
- *85. „Lindbergh” St. Str. Wojtkiewicz.
86. „Trujaca Syrena Andalużji” H. Skarbek.
- 87. „Szpiegostwo niemieckie w Polsce” Br. Tkaczyk.
- 88. „Za kulisami caratu” Dr. J. P. Zajączkowski.
89. „Spadek, którego nie było” Z. Dromlewiczowa.
- *90. „Zdrada pplk. Grimma” Gen. Wejtko.
- *91. „Orzeł morski” St. Strumph-Wojtkiewicz.
92. „Księżna i portuczik” Jan Feldman.
- 93. „Jak zabiliśmy Flewnego” Borys Sawinkow.
94. „Truciele i truciolki” W. Melcer-Rutkowska.
95. „Niebieskie ptaki XIX w.” Meb.
- 96. „Dwie hjeny” W. Mergiel.
97. „Ostatnia Wojwodzina Wileńska” K. Bartoszewicz.
- 98. „Jak Zabiliśmy W. Ks. Sergiusza” Sawinkow.
- 99. „Spowiedź szpiega pruskiego” Dr. Vitellus.
- *100-101. „W odmęcie prowokacji” Prof. L. Iwaszkiewicz.
102. „Najsłynniejsze raidy lotnicze” R. Krehowicz.
103. „Cesarz w niewoli” J. Feldman.
- *104. „Pierwsza miłości wielkich ludzi” Meb.
105. „Łódź podwodna” Komandor-por. Sadowski.

116

- 106 „Zamach gen. Malet” Dr. J. M. Majewski.
- 107 „Zakorkowanie Zecbruge” inż. J. Ginsbert.
- 108 „Na podbój Amazonki” M. Lepecki.
- 109 „Rockteller” A. mski.
- 110 „Azel” Dr. J. P. Zajączkowski.
- 111 „Księżna Jurjewsk” St. Napierski.
- 112 „Francja na morzu” inż. J. Ginsbert.
- 113 „Kulisy policji rosyjskiej” pułk. St. Lubodziecki.
- 114 „Amundsen” B. Krechowicz.
- 115-116 „Telegrafy z Kosmosu” Bruno Winawer.
- 117 „Żywa torpeda” Julian Ginsbert.
- 118 „Szpiegostwo bolszewickie” Wł. Mergel.
- 119 „Ojciec Hapon” Brezki.
- 120 „Okrety i pulapki” inż. J. Ginsbert.
- 121 „Bunt na Potiomkinie” por. Kowalenko.
- 122-123 „Biljon słońce” — Bruno Winawer.
- 124 „Zeppelin 127” — Roman Krechowicz.
- 125 „Bohaterowie Adrjatyku” — Pp. Komandor Czeczott.
- 126 „Naj—Naj” Johnes.
- 127 „Od koronek do płyt pancernych” — J. Ginsbert.
- 128 „Tajemniczy DOX” — R. Krechowicz.
- 129 „Z Wersalu do klasztoru” — J. Straszewski.
- 130 „Szpieg—bohaterka” M. Godlewski.
- 131 „Dogger Bank” — Kpt. mar. R. Czeczott.
- 132 „Falszywe tropy” — H. Czerwinski.
- 133 „Tragedje małżeńskie” — prokur. Januszkiewicz.
- 134-135 „Przez Atlantyk” — Major Kubala.
- 136 „Film dźwiękowy” — M. Kren.
- 137 „Admirał Nelson” — Kom. por. Czeczott.
- 138-139 „Jan III i Marysiénka” — J. Kiewnarska.
- 140 „Cejlon”, Wacław Sieroszewski.
- 141 „Selimchan”, M. Domański.
- 142-143 „Turnieje maszyn”, — Bruno Winawer.
- 144 „Pancernik Sutfren” — J. Ginsbert.
- 145 „Tajemnice okrętu Falke” — St. Zimnik.
- 146 „Nierząd Rzpłitej”, — J. Moriconi.
- 147 „Królowie pięści” — Wiktor Junosza.
- 148 „Carski Jubiler” — Księż. M. Putiatin.
- 149 „Tajemnice Jogów”, — Meb.
- 150 „Pamiętnik z Solówek” — Lenartowicz.
- 151-152 „Syn woziwody” — Bruno Winawer.
- 153 „Narożnik wiatrów” — J. Ginsbert.
- 154 „Wrażenia z Ameryki” — Wacław Sieroszewski.
- 155 „Pojedynek Imci Pana Tarly:” — J. Ryszkowski.
- 156 „Na stalowym rumaku” — W. Junosza-Dąbrowski.
- 157 „Wywiadowczynie” — Michał Godlewski.
- 158 „Dwa śluby” — Władysław Jankowski.
- 159 „Cuszima” — Julian Ginsbert.
- 160 „Satanisci” — Janina Walicka.
- 161 „Stolnik litewski” — W. Godziszewski.
- 162 „Wrażenia z Anglii” — Wacław Sieroszewski.
- 163 „Z archiwów kontrwywiadu Polskiego” — M. Godlewski.
- 164 „Chicago — miasto zbrodni” — Marek Romański.
- 165 „Djabel Łańcucki” — T. Jakubowicz.
- 166 „Ucieczka Goeben i Breslau” — Komandor por. Czeczott.
- 167-168 „Łono Natury” — Bruno Winawer.

Dalszy ciąg patrz ostatnia str. książeczki.